Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem

JEDNOTA

ORGAN POLSKIEGO KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK II WARSZAWA, LIPIEC 1927 R. Nr 7

REDAKTOR: **Ks. St. SKIERSKI**
Adres Redakcji:
WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3.

WYDAWCA:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO - REFORMOWANEJ
ADRES ADMINISTRACJI — LESZNO 20.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł 6; kwartalnie zł 3. Pojedyńczy numer zł 1.50.

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-tej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423.

TREŚĆ NUMERU:

1. — List Jaśnie Oświeconej Księżnej L. K. Radziwiłłówny 109
2. *Stanisław Srokowski.* W cieniu konkordatu 110
3. *Kazimierz Kosiński.* Witkiewicz i Tatry (dalszy ciąg) 112
4. *P. Hulka-Laskowski.* Współczesna problematyka religijna 116
5. *Leon Rygier.* Źródła filozofji Słowackiego według Juljusza Kleinera 119
6. *Witold Tarcza.* Przebudzenie (głos czytelnika) 121
7. — S — Wiadomości z Kościoła i o Kościele 122
8. Od redakcji. Ofiary na wydawnictwo. Porządek nabożeństw . . 124

ROK II WARSZAWA, LIPIEC 1927 R. Nr 7

Redaktor: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

LIST ś. p. JAŚNIE OŚWIECONEJ J. O. KSIĘŻNEJ JEJMOŚCIANKI LUDWIKI-KAROLINY RADZIWIŁŁÓWNY NA SYNOD R. 1689 Z NEJBURGU PISANY.

Wielebni, Wielmożni Waszmościowie Panowie i Przyjaciele.

Dowiedziawszy się, iż WW. M. P. P. termin zwyczajny Synodu Generalnego dla Obrady o Chwale Bożej i Kościoła Jego naznaczyliście, uprzejmym życzę sercem, żeby ten Pan od którego Świętego Majestatu wszystkie ziemskie Rady i postanowienia Konfirmację otrzymywać zwykły, pobłogosławił temu Zjazdowi Wielmożnych i Wielebnych Państwa, żeby z niego już prawie upadająca chwała Boża jako największą mogła mieć podporę, ku której w tej tu miejsca odległości nie gaśnie we mnie prawdziwa gorliwość i staranie o jako największe jej w tych ostatkach, kiedy wszędzie na opresję i wygładzenie onej złość i zawziętość ludzka się nasadziła, rozkrzewienie.

Z żalem to jednak dochodzi mię częstokroć i w tamtym Kraju, gdzie między adwersażami będąc, światłość prawdy pobożności i przykładnego żywota świecić by powinna, niemniej, że się od Ewangelji Świętej zowiemy, niemal we wszystkiem światu okazałościom jego niektórzy się akomodując nawet kazania już nie słowa Bożego ani Pisma Świętego ale z różnych mów Politycznych i oracji formują, chcąc się tym bardziej upodobać niemocy duchownej w roztrząsnieniu argumentów wiary i wprowadzeniu słuchaczów prawdziwym sznurem słowa Bożego do Zbawienia wiekuistego, ale mądrości ludzkiej, coby w lepszą rzecz prowadzić potrzeba bo taką rzeczą odejmie za czasem Pan Bóg moc prawdy, gdy o niej dbać nie będą a poda w usta Kaznodziejów nie Słowo swoje Święte, ale opowiadanie różnych wynalazków ludzkich. To się zaś dlatego dzieje iż pospolicie przypuszczają do tak wielkiego urzędu ludzi nader młodych, nieumiejętnych, a nawet i żołnierzów, którzy ledwo wiedzą co jest Biblja i Testament Święty, a dopieroż kontrowersje wiary. Lepiej tedy postanowić, żeby ani ksiądz, ani djakon, ani lektor na ambonę nie wstępował ażby wprzód w publicznym na Synodzie egzaminie próbę nauki i umiejętności swej pokazał, lecz i między niektóremi już in ministerjo będącymi to jako słyszę zagęstić się miało że Księgi i nauki uchylać poczynają na stronę. Nieźleby tedy wnieść to na rzecz, aby od starszego do najmłodszego porządkiem kandydatów na ten urząd święty egzaminowali t. j. tego Synodu, następujący drugiego

Do tego wiem to zapewne, bom się o tem umyślnie pytała a po części i sama wiedziała, iż we Zbo.ach Holenderskich, Angielskich i Niemieckich każdej niedzieli po skończeniu Nieszpornego Nabożeństwa katechizm zawsze dla nauki młodych ludzi publicznie egzaminowany bywa, tego zaś w Zborach Litewskich niemaż, lubo by to było i jest rzeczą bardzo potrzebną i pożyteczną dla zachęcenia i wprowadzenia ludzi nieumiejętnych na drogę prawdy, zwłaszcza gdy o tem są Kanony Litewskie, a przecie tego do skutku nie przywodzą.

Szkoły też bardzo mizernie prowidowane bywają uczącymi, lubo nie mały koszt na nie ważą. Z których tacy wychodzą, którzy prostych nawet nie absolbowali nauk. A to się dzieje przez częste Rektorów przesadzanie i odmiany. O com jak wiele razy pisała, ale bez żadnego dotąd skutku, bo co jeden nauczy to drugim dla odmienności lekcji uczącej się zapomnią; a potem też wszystkiego oraz uczą tego żadną miarą pojąć nie mogą młodzi. Na Rektorstwo pospolicie ordynują takich, którzy wraz Kościołowi i szkole służyli, a to być nie może bez zan'edbania jednego z tych urzędów, które każde osobliwego pot zebują człowieka. I lubo to pod tym się pretekstem dzieje, żeby drugiego kosztu na Rektora ważyć nie trzeba, ale i ten mógłby być gdyby sumami Zborowemi inaczej się podczas obchodzono, bo niektóre takim są dyspozycje dane u których nietylko interesy, ale i same giną kapitały; drugie zaś legata i insze sumy na swój własny obróciły się pożytek, tymczasem ubodzy i którzyby żyć z tego mogli ciężki cierpieć muszą niedostatek; zaco ci, którzy temu winni na onym strasznym sądzie odpowiedzieć będą musieli.

Niech mi nikt nie ma za złe, że to pisać muszę, bo w tem się urodziwszy, wychowawszy i do życia mego zostawać statecznie umyśliwszy Nabożeństwie i będąc tak wielu Zborów Patronką i da Bóg sama Go oglądała, żeby Chwała Boża rozszerzyć się mogła Waszmościów Miłościwych Wielmożnych i Wielebnych Panów zaś proszę i miłością Zbawienia ich własnego obtestuję, żebyście wszelkie na strony uchyliwszy prywaty, gorliwą obradę o Kościele Bożym czynili, a to tak, żeby światłość nasza świecić zawsze mogła przed ludźmi. W tych zaś punktach wyrażonych żebym pożądany otrzymać mogła skutek.

Kończąc za-tem P. Lutomirskiego młodszego z Akademji Cudzoziemskich powracającego, z skromności i nabytej nauki W. M. W. W. Panom zalecam abyście go dobrem akomodować raczyli miejscem, a oraz Pana Najwyższego proszę, żeby On sam jako Najwyższy Chwały Swojej Swiętej Promotor radził o niej i nią się opiekował, oddaję się przytem W. M. W. W. Panów łasce i zostaję W. M. W. W. Panów życzliwa przyjaciółka.

Ludwika-Karolina Radziwiłłówna.

w Neuburgu dnia 25 mai s. n. anno 1689.

W CIENIU KONKORDATU.

Zawierając przed ?. laty konkordat z Rzymem, Polska łudziła się, że od tej chwili wzajemne współżycie czynników duchownych i świeckich ustali się u nas podobnie, jak to bywa między dwoma podpisującemi traktat mocarstwami, że nie będzie lekkomyślnych tarć, lecz owszem daleko idące poszanowanie reprezentowanych przez jedną i drugą stronę instytucji.

I kto pilnie śledzi, jak układają się stosunki, nie może niedostrzec, iż ze strony polskiego rządu nikt nie wtrąca się dotąd do wewnętrznych spraw kościelnych, nikt nie stara się nadużywać swojego wpływu, nikt nie dąży do tego, aby narzucać się z swym autorytetem nie tylko prałatom, ale nawet pospolitym proboszczom. W tym kierunku poszliśmy, zdaje się, nawet dalej, niż potrzeba, bo hierarchję kościelną rozpoczęliśmy otaczać jakimś specjalnym nimbem, który bywa udziałem niemal tylko suwerenów. Za karocami odprawujących swe ingresy biskupów kroczą wojska Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, na przyjęciach i gdzieindziej odstępuje się hierarchji pierwsze miejsce, a każde święto narodowe, począwszy od stolicy, a skończywszy na małem miasteczku, zaczyna się przedewszystkiem od uroczystości kościelnej rzymsko-katolickiej, która nierzadko absorbuje wszystko inne, a zawsze nastręcza sposobność do odezwania się z mównicy reprezentantowi uprzywilejowanego wyznania. Nie było też dotąd w państwie dygnitarza, któryby pozwolił sobie kiedykolwiek na najlżejszą bodaj publiczną obrazę nie już religji katolickiej, lub jej ziemskiego suwerennego symbolu, jakim jest rzymski papież, ale choćby tylko jednego z tych wielu jego zastępców na stolicach biskupich, których Polska liczy na dziesiątki,

a którzy, raz wraz zjeżdżając się i proklamując swoje manifesty, pobudzają wręcz do dyskusji, boć przecież panowie biskupi wypowiadają się o wszystkiem, i o reformie prawa małżeńskiego, i o Bogu Ducha winnej, a tak zasłużonej wobec Polski, przecież jednak „heretyckiej" Y. M. C. A. i o stosunkach w Meksyku, i o „masonerji", i o „sekciarstwie", i o rzekomem znieważaniu uczuć religijnych ludności katolickiej w Polsce, i o bezwyznaniowej szkole, której niema, i o innych jeszcze rzeczach.

Ze strony urzędu polskiego wszystko jest zatem w zupełnym porządku. Dalej jak w Polsce na drodze koncyliacyjnego postępowania posuwać się niemożna, bo jeszcze jeden tylko krok, a chyba przestalibyśmy być państwem, chcącem uprawiać swą własną politykę, a stalibyśmy się ekspozyturą rzymskiego internacjonału.

Zobaczmy teraz jak postępuje strona druga.

Oto wspominać nie będę o zachowaniu się różnych dygnitarzy kościoła katolickiego podczas wypadków majowych, w czasie których swemi wystąpieniami podsycali oni i tak już wzburzone namiętności polityczne, oni, którzy powinni byli stać za nawiasem tych spraw, nie będę cytować różnych namiętnych występów księży posłów w Sejmie, do którego dostają się, korzystając z swego, wysuwanago w okresie przedwyborczym na plan pierwszy, obywatelstwa polskiego, o którem w innych okazjach często się zapomina, przejdę również do porządku dziennego nad rozsadzającą społeczenstwo działalnością Ligi Katolickiej, której reprezentanci nie pozostawiają w spokoju nawet młodzieży akademickiej, zaprawiając ją już od ławy uniwersyteckiej do stawiania wszystkiego na gruncie fanatyzmu wyznaniowego, pozwolę sobie natomiast zacytować kilka faktów, które obiegły świeżo prasę polską, a które jak meteor oświecają sytuację, w jakiej się znajdujemy.

I tak pewien wysłużony katecheta i prałat niedawno wysłał do kancelarji P. Prezydenta Rzeczypospolitej pismo, w którem, oświadczywszy, że czuje się „dotkniętym w najgłębszych swych uczuciach kapłańskich" okólnikiem P. Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, zalecającym młodzieży szkolnej niebojkotowanie Związku Polskiej Y.M.C.A., równocześnie uznał za stosowne wyrazić się w sposób następujący:

„Uważam za niegodne kapłana katolickiego poczytywać za jakikolwiek zaszczyt odznaczenie krzyżem komandorskim Odrodzenia Polski, przyznane mi przez Excell. Pana Prezydenta 9 listopada 1926 i pozostawiam Excell. Panu Prazydentowi to odznaczenie do dyspozycji".

Dla tem większego despektu list owego księdza ogłoszony został w całości w prasie.

Fakt drugi.

Ks. kanonik F. w listopadzie 1926 podczas przysięgi poborowych rocznika 1904 wygłosił kazanie, w którem powiedział: „Jakkolwiek przysięgacie, to nie macie jednak obowiązku słuchać bałwana, który zdradą, podstępem i walką bratobójczą doszedł do władzy i który za niemieckie pieniądze prowadził młodzież na rzeź, każąc jej walczyć po stronie niemieckiej".

Komentarze zbyteczne. Wszyscy rozumiemy o kogo tu chodzi.

Fakt trzeci.

Ks. proboszcz J. w czasie smutnego tegorocznego święta narodowego 3 maja, kiedy miejscowe społeczeństwo wielkopolskie w pewnem mieście rozbiło się na dwie grupy, państwową złożoną z wojska i „Strzelca", oraz drugą, w skład której weszły wszystkie organizacje Przygotowania Wojskowego, jak podoficerowie rezerwy, Bractwo strzeleckie, Hallerczycy, Powstańcy i Wojacy, Sokoli, a także Związki i Towarzystwa, był tym, który naprzekór zachęcającej do jedności odezwie wojewody Bnińskiego przyjmował defiladę owych frondujących grup.

Przytoczyłem te trzy przykładowe fakty, nawet nie wymieniając nazwisk polityków w sutannach, aby stwierdzić, że niema chyba drugiego państwa na świecie, gdzieby odpowiedzialni reprezentanci pewnego wyznania napastliwie pozwalali sobie na taki lekceważący stosunek wobec rządu, zachowującego, jak to powiedzieliśmy już wyżej, wobec drugiej strony wszelkie decorum i uprzejmość. Gdzieindziej za każdy z tych czynów, zważywszy jego tendencję i skutki, prowokator spotkałby się z ogólnem potępieniem przez opinję publiczną, a na ujawnioną w nierozsądny sposób akcję antirządową zrodziłaby się z pewnością silna reakcja antiklerykalna.

U nas niestety dotąd pod tym względem głucho i cicho. — Roma locuta, causa finita!

Niech zresztą będzie, gdy komu tak potrzeba, ale w sprawach wiary, a nie narodowej polityki. Bo ostatecznie wyrabia się stan taki, że hierarchja rości sobie prawo wszechstronnego nadzoru nie tylko nad życiem duchowem jednostki, ale i państwa, sama zaś, choćby dzięki konkordatowi, zajmuje stanowisko odrębne i uprzywilejowane. Via facti rozszerza je sobie coraz bardziej do granic, nie dających się pogodzić ani z ambicją mającego swe ideały narodu, ani też z potrzebami ładu społecznego. W konsekwencji staje się ona czynnikiem fermentu, z którym społeczeństwo musi się załatwić, skoro ma żyć i rozwijać się, ustosunkowując się wobec niego tak, jak się to już stało wobec innych kierunków wywrotowych, gdyż wojujący klerykalizm to także anarchja, i to niepośledniego gatanku.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga!

Kościół wojujący i opierający się o władzę nie jest nigdy kościołem budującym moralnie i etycznie. Wyczerpawszy swe siły na spory o dobra tego świata i kwestje prestige'u niema ich do najwłaściwszych swych funkcji, tych, do których go ostatecznie powołano. Dowodem tego ruch reformacyjny w XVI wieku, a jeszcze wcześniej, bliższy nam szlachetnego Husa w Czechach. Bo ani jeden, ani drugi nie byłby do pomyślenia, gdyby nie poprzedni głęboki upadek papiestwa, wywołany nadmiernem pragnieniem

władzy i mieszaniem się Namiestnika Chrystusa w pospolite spory potęg świeckich. Zawiedzeni ludzie zaczęli szukać wielkich ideałów w walce z ówczesnym kościołem rzymskim, gdyż nie mogli ich znaleść w uległem poddaniu się, tem bardziej, że słowa i formalne rozkazy nie wystarczą nigdy, skoro rozwiała się już treść pewnej koncepcji myślowej i skoro ludzie przyszli do przekonania, że nie w niej, lecz właśnie wbrew niej znajdą szczęście i wytchnienie ducha.

Czy zaś współczesny kościół wojujący i u nas w Polsce może powiedzieć, że zapewnia już ludziom maksimum doskonałości moralnej, powiedzą nam nieco stosunki w zachodniej części państwa.

W Poznańskiem i na Pomorzu, gdzie na przyjęcie podróżującego biskupa formują się całe komitety i banderje, gdzie zewnętrzny wygląd uroczystości narodowych, zwłaszcza na prowincji, nie da się wręcz porównać z pompą rozwijaną podczas świąt kościelnych, gdzie proboszcz trzyma w ryzach wszystkie miejscowe towarzystwa, od bractwa kościelnego do Sokoła włącznie, gdzie odstręcza się młodzież szkolną od największych tytanów polskiej myśli, jak Żeromskiego, dlatego tylko, że jego chrystjanizm nie jest typu rzymskiego, gdzie buszują wśród społeczeństwa Ligi Katolickie, gdzie w naczelnych dziennikach czarno na białem, dla urabiania odpowiedniego nastroju, drukuje się np. iż „ks. prymas zaszczyci swą wizytą Prezydenta Rzeczypospolitej" (Dziennik Poznański Nr 5 z r. 1927), a nie odwrotnie, gdzie średniowieczna ceremonja nałożenia na głowę biretu kardynalskiego Mnsr. Lauriemu wytworzyła całą literaturę — tam oto moralność szerokich warstw, zważywszy wszystkie okoliczności, które powinny ją podnosić, stoi zdaje się na bardzo nadającym się do dyskusji poziomie, i aż dziwić się wypada, że tak się stosunki układają właśnie przy takiej władzy, takim autorytecie i takim poparciu.

W Poznaniu, gdzie prawie nic się nie da zepchnąć ani na żydów, ani na „heretyków", bo ich tam niemal niema, w r. 1926 urodziło się, aż 17,7% dzieci nieślubnego łoża.

Pewne światło na stosunki rzuca również i ten fakt, że w Wielkopolsce w r. 1926 nabyto od monopolu spirytusowego i przeważnie skonsumowano, aż 66.495 hektolitrów spirytusu, gdy pogardzane, jako małokulturalne i pod względem moralnym rzekomo niżej stojące, województwa wschodnie obchodzą się tylko ułamkiem tej masy, np. tarnopolskie 2.387 hektolitrami.

Straszne są też niestety zbrodnie w rodzinach katolickich. Wystarczy wziąść pierwszą lepszą wielkopolską lub pomorską gazetę do ręki, aby się o tem przekonać.

A formy towarzyskie, a zabawy! Lepiej o tem nie mówić. Podam tylko małą próbkę. Pewien Sokół na zapadłej prowincji pomorskiej, a zatem zdawałoby się, że w okolicy najbardziej umoralnionej i najmniej przez „masonerję" opanowanej, dosłownie zapowiada plakatem między innemi następujące rzeczy: „O godz. 24 odkrycie masek; trzy najgłębsze dekolty będą premjowane".

W nagłówku plakatu, jakby na ironję, umieszczono piękne hasło sokole: „W zdrowem ciele, zdrowy duch".

Oto ani ciało nie jest do zbytku zdrowe, ani duch, mimo szerzącej się powierzchownej bigoterji i mimo wydawanych przez najwyższą hierarchję apelów do pracy nad podniesieniem społeczeństwa. Przebrzmiewają one, bo są to tylko słowa, a ludzkość orjentuje się wpdług innych rzeczy. Widzi kościół walczący, ale nie wie, o co ta walka się toczy, czy jest to rozprawa o dobra moralne, czy też wyprawa na tych, którzyby chcieli ludzkość przeprowadzić przez Rubikon uprzedzeń wyznaniowych, rozumiejąc, że bez tego kroku niema mowy o wejściu na tory rozwoju nowożytnego państwa.

Kościół musi wybrać. Zdaje się atoli, że ten moment rozstrzygnięcia w obozie katolickim jeszcze nie nadszedł i nie prędko nadejdzie.

Polska przecież na niego czeka i wiele się po nim spodziewa. *Stanisław Srokowski.*

WITKIEWICZ I TATRY.

(c. d.).

Trzecią z tych legendarnych postaci Tatr był ks. Stolarczyk, pierwszy proboszcz Zakopanego. Zewnętrznie nie mający w sobie nic z romantyka czy marzyciela, czy też apostoła, człowiek ten posiadał dużą inteligencję uczuć, miał nadto ogrom ukochania Tatr, które przybierało u niego znamiona wprost religijne. Pominąwszy jego pracę nad ludem, wybitną, skuteczną i wyjątkową, w rezultatach swoich dodatnich, pominąwszy jego stosunek do Chałubińskiego, na wzajemnym szacunku oparty, jedno stwierdzić należy, że w kwestji Tatr uzupełniali się oni wzajemnie. Ks. Stolarczyk był tym, który pogłębił romantyzm Tatr u Chałubińskiego, podczas gdy ten ostatni rozszerzył horyzonty tatrzańskie ks. Stolarczyka, który pozatem, jako typ kapłana, miał w sobie wiele z średniowiecza, zwłaszcza pod względem wiary prostej i mocnej, niezakłóconej niczem. Objął ks. Stolarczyk parafję zakopiańską w roku 1847 i zaraz wziął się do budowy kościoła. „Kościół ten jest drewniany; część jego przednia została zbudowana w roku 1847 i przyozdobiona jednym ołtarzem i czterema chorągwiami" — podaje ksiądz Sto-

larczyk w swojej kronice parafji zakopiańskiej *). Umiłował on Tatry od początku swego pobytu w Zakopanem i chodził w góry, odznaczając się przytem niezwykłą odwagą i wytrwałością. Wyprawy te, najczęściej w towarzystwie trzech innych kapłanów, wytrwałych i zapalonych, jak on, taterników, miały w sobie coś mistycznego w swoim irracjonaliźmie, w łączeniu ich z uczuciami religijnemi, z gorącą wiarą i zachwytem dla piękna, które im powiadało o Bogu. Wdzierali się na szczyty z narażeniem życia, aby na wysokościach korzyć się w duchu, śpiewając w zachwyceniu uroczyste Te Deum. Chodził też ks. Stolarczyk w góry, podobnie jak Chałubiński, z najtęższymi góralami, a potem z Chałubińskim. Już w roku 1849 wraz z Maciejem Rojem wdarł się na szczyt Świnicy, w roku 1854 był na szczycie Lodowym, co ponowił w 13 lat potem, w roku 1874 pierwszy z Polaków wdarł się na Gerlach i t. p., nie mówiąc o tem, że zwiedził on wszystkie ważniejsze szczyty. Wyprawa na Gerlach była bohaterską w całem tego słowa znaczeniu; zaczął ją w towarzystwie Chałubińskiego, co nie dało rezultatów, potem odbył ją sam w towarzystwie najlepszych przewodników zakopiańskich, Wojtka Roja, Szymka Tatara i innych. Opowiada o swoich wrażeniach na szczycie: „Nasyciwszy się, że tak powiem, tym, w swoim rodzaju jedynym widokiem, na którego opisanie pióro moje zbyt jest nieudolne, ukląkłem jeszcze raz i odśpiewałem z radością przepełnionem sercem Te Deum, podczas gdy towarzysze moi pocichu się modlili. Przerwał nam zachwycenie nasze unoszący się ponad szczyty i przepaści Gerlachu wspaniały, wielki orzeł, jedyna żywa istota, która tę skalistą, górną krainę zamieszkuje"**).

Jest jeszcze jeden moment ważny w historji ks. Stolarczyka: a mianowicie podróż jego do Ziemi Świętej i Rzymu w r. 1870. Natenczas ks. Stolarczyk, który pozatem nie opuszczał swoich gór, objechał Europę, Azję i Afrykę, był w Egipcie i Palestynie, wchodził na Wezuwjusz, stanął na piramidzie Cheopsa, tęskniąc przytem do piękna Tatr, którego mu nic zastąpić nie mogło, ani góry inne, ani morza — i odtąd nigdy ich nie opuszczał. Pod koniec życia, w starości, dopokąd mógł, uczęszczał w Tatry, a choć nie przedsiębrał już trudnych, dalekich wypraw, najczęściej już po sezonie, we wrześniu, kiedy złociła się tatrzańska jesień, wybierał się do Czarnego Stawu, albo do Hali Gąsienicowej, gdzie, pod jednym ulubionym świerkiem rozbiwszy namiot, przesiadywał po kilka dni, darząc się widokiem gór, żyjąc pięknościami natury. Człowiek ten, wytrwały na niewygody i trudy, jak najtęższy góral, przewędrował Tatry od brzega do brzega.

Witkiewicz pisał o nim już w Na przełęczy. Przypominał czasy, kiedy ks. Stolarczyk z „wielkim trudem, często własnemi rękami dźwigając belki", stawiał kościół, czemu parafjanie przyglądali się z szyderstwem i pogardą, „zapalając fajki o świece i lampki święcone, szli w hale paść owce, walczyć z niedźwiedziami, kopać rudę w Kościeliskach, uganiać się za dzikim capem, lub grzebść świstaki, w których sadle widzieli daleko więcej mocy tajemniczej, niż w mszach i koronkach"*).

I oto właśnie, ks. Stolarczyk umiał lud ten przerobić, co Witkiewicz poczytuje mu za główną jego zasługę, podkreślając umiejętność jego postępowania z góralami. Miał ks. Stolarczyk, jego zdaniem, wiele przymiotów, które pozwalały mu imponować ludowi, miał nadzwyczajną siłę fizyczną, dobrą budowę ciała, odwagę, wzrost potężny, chodził po górach na równi z najtęższymi koziarzami, odznaczał się wielką inteligencją i zręcznością życiową, co pozwalało mu dobrze poznać górali, ich wady i przymioty rasowe. Pozatem był świetnym kaznodzieją, a górale są bardzo czuli na dobrą wymowę, zwłaszcza że ks. Stolarczyk przemawiał do nich gwarą. Działalność jego założyła podwaliny pod uspołecznienie górali, „ociosała", jego zdaniem, ich pojęcia etyczne. Ks. Stolarczyk stał się jedną z postaci góralskich, tak dalece zżył się z tym światem. Nadto był on indywidualnością wyjątkowo mocną o zdecydowanym charakterze. Kiedy o Zakopane uderzyła fala nowego życia, nowych ludzi, nowej cywilizacji i pojęć, co wpłynęło ujemnie na lud góralski, ks. Stolarczyk chciał Zakopane porzucić — a jednak nie porzucił. „Był on takim starożytnym królem — kapłanem, teokratą, którego władzy i wpływów nie mąciła żadna inna siła, oprócz siły dzielnego temperamentu jego ludu" — pisał o nim Witkiewicz w „Na przełęczy"**).

I jeszcze jedno: człowiek ten, zżyty, jak mało kto, z górami, umiał je wybornie obserwować i doskonale pamiętał ich barwy, czego Witkiewicz nie omieszkał zaznaczyć***).

Do postaci tej Witkiewicz wrócił w „Po latach", dodając, że z jego śmiercią skończył się w historji Zakopanego okres szczególnej teokracji i rozpoczęły się zwykłe stosunki parafjańskie. W dzisiejszem Zakopanem i dla ks. Stolarczyka i dla Sabały i dla Chałubińskiego zabrakłoby już warunków, w których oni żyć i działać mogli. Zakopane stało się czemś zgoła różnem od tego, o czem marzył Chałubiński. „Zmieniło się wszystko, wszystkie warunki i formy ludzkiego życia — od kościoła do karczmy" — pisał Witkiewicz w Po latach, str. 27.

Dawniej było inaczej, a w tem „dawniej" tkwił niezaprzeczony smutek romantyczny Witkiewicza w stosunku do Tatr, a zarazem jego bolesna krytyka teraźniejszości. Dawniej przyjeżdżają-

*) Rocznik podhalański, N. 1 z r. 1914-21, str. 106.
**) F. Hoesick — Legendarne postacie zakopiańskie, str. 128.

*) Na przełęczy, str. 205.
**) tamże, str. 210.
***) tamże, str. 211.

cych w Tatry nęciło ich piękno i była w tem bezpośrednia potrzeba artystyczna duszy. Piękno pustyni tatrzańskiej, konieczność zdobywania jej ściągały tu ludzi silnych i zdrowych. Za nimi przyszła falanga ludzi zwykłych i ludzi... chorych. Dla tamtych miały Tatry znaczenie irracjonalne, były potężną dźwignią w duchowem i twórczem ich życiu. Dzisiaj zmieniło się wszystko: Zakopane i lud, do którego zmienił się także stosunek przybyszów. Dawniej gość potrzebował górala, dla którego był chojnym panem. Potem dla poratowania zdrowia spłynął tu w takiej obfitości, że zadecydował o zmianie samego życia; w rezultacie góral od rolnictwa i gór przeszedł do hotelarstwa. Zanikają jego formy życia, będące wspaniałym przejawem rodzimej kultury i góral urabia się na modłę ogólną, tracąc swoje cechy i przymioty rasowe. Dawniej zależał on od przyrody, która niszczyła mu niejednokrotnie plony i głód dawał mu się nieraz we znaki, ale też z tą przyrodą harmonizował się i niejako ją uzupełniał. Dzisiaj górale Zakopanego żyją przeważnie z gości, ale dzisiaj nie oni, tylko tamci nadają charakter miastu. Dawniej góral był przewodnikiem i był dla gościa „wszystkiem", nadto uderzał go swojem pięknem, którem dostrajał się do otaczającej go przyrody*).

Lud ten początkowo budził dla siebie entuzjazm, darzono go i opłacano, psuto bez miary, nie widziano jego przywar, zapominano o tem, że uspołecznienie niezawsze idzie w parze z energją temperamentu lub łatwością wysławiania się, poza któremi kryć się mogą instynkty antispołeczne**).

A jednak przymioty rasowe górala były, w przekonaniu Witkiewicza, istotnie wyjątkowe. Lud ten stanowił dla niego wyższy typ ludzki, jak to stwierdza w Po latach (str. 70). Wymieniał nadto następujące jego cechy: zdumiewającą wytworność obyczajową, pojemność i lotność inteligencji, szybkość pojmowania, zdolność wnioskowania, świetne formułowanie myśli. Dalej idzie ścisłość obserwacji, łatwość zestawiania i porównywania zjawisk, trzeźwość, jasność oraz subtelność i ścisłość w formułowaniu pojęć, dokładność w użyciu wyrazów, nadto czujna rozwaga. Pozatem: system nerwowy o nadzwyczajnej pobudliwości, wielka wrażliwość, silna, lotna, choć krótkotrwała uczuciowość, którą rzadko niszczy kontrolująca czynność rozwagi***).

Z drugiej strony przychodzą wady jego charakteru: a więc brak odwagi cywilnej, co przeradza się często w pospolite tchórzostwo i małoduszność, a nawet dwulicowość i niewielu jest górali, którzyby umieli zdania swojego bronić na podstawie własnego przekonania****).

I jeszcze jedno: do charakterystyki górali należy także kwestja ich pracy, a mianowicie, jak górale pracują? Witkiewicz zgłębia tu zagadnienie i twierdzi, że niesłusznem jest przekonanie, jakoby góral był z natury swojej leniwy. Umie on być pracowitym potwornie, ale, jak w Morrisa Wieściach z Nikąd, nie lubi i nie może pracować z uczuciem niewolniczego przymusu. Góral w swoją pracę musi wnosić cały temperament i pasję, całą swoją inteligencję, może pracować tylko jak człowiek wolny, w sposób twórczy i ze zrozumieniem celu pracy, co powoduje jego zapał. Góral musi swoją pracę ponadto lubić, a wtedy nie lęka się nadmiernego trudu. Tkwi w tem najżywotniejsze zagadnienie pracy, dotąd nie rozwiązane. Góral w pracy pozostaje wolnym człowiekiem, to znaczy jest on zależny od stanów swoich psychicznych i praca jego miewa natężenie różne. Opowiada o tem Witkiewicz: „Kto miał sposobność pracować z góralami, np. przy budowie, ten wie dobrze, jak nierównomierną jest wydajność ich pracy. Niekiedy na budowlanym placu drzemie senność i nuda, siekiery uderzają zrzadka w długich przerwach, szczapy z płaz okrzesywanych odwalają się pomału, wlokąc się za siekierą, ludzie ruszają się wolno i niemrawo — innym razem zdaleka już słychać huk siekier szybki i gwałtowny, jakgdyby wartko młócono, drzazgi lecą z trzaskiem, a cały zrąb budowy dudni dźwięcznie i wesoło od uderzeń siekier i kijani. I ta gwałtowna, szybka robota jest zawsze zręczna, rozważna, celowa i rozumna. Pomyłki zdarzają się rzadko, czas i materjał nie marnuje się na poprawianie tego, co popsuła nierozwaga, nieudolność lub gapiostwo" *).

Pracy tej towarzyszy inteligencja, rozwaga, temperament, celność oka i ręki. Dzięki tym przymiotom „góral, budując bez rusztowań, uczepiony gdzieś końcem kierpca na zrębie, swoją siekierą manewruje tak, jakgdyby miał kilka różnych narzędzi pod ręką. Ociosuje nią płazy do kantu, wydłubuje skomplikowaną więźbę podwójnego węgła, wycina cyfry i krzyżyki niespodziane, struże teble, fazuje tragarze i sosręby, wogóle posługuje się nią tak, jakgdyby ona była zrośnięta z jego zgrabną ręką. Drzewo wychodzi z pod tej jego ręki ociosane czysto i gładko i takiem pozostaje do końca budowy. Chociaż przez te odrzwia rzeźbione i fazowane wnoszą się na drągach olbrzymie bale, chociaż przez nie przez pół roku wchodzi i wychodzi codzień kilkunastu lub kilkudziesięciu ludzi, niema na nich rysy niema obłamanych kantów, dziur i okaleczeń"**).

W drugim zeszycie Stylu zakopiańskiego Witkiewicz, omawiając to samo, nazywa górali rasą genjalną, z którą pracować jest prawdziwą radością***). Radość ta płynie również i z tego, że niema tu przy pracy klątw, pomstowań i złorzeczeń, że atmosfera jest pełna harmonji i spokoju. W rezultacie Witkiewicz porównywał gó-

*) Po latach, str. 35 — 36.
**) Na przełęczy, str. 65.
***) Po latach, str. 71.
****) tamże, str. 73.

*) Po latach, str. 78.
**) Po latach, str. 78-9.
***) Zesz. II Ciesielstwo, str. 12.

rala do Japończyka, w którym widział wtedy wyższy typ człowieka. Było to w czasie wojny japońskiej, gdy wiele się na ten temat mówiło i pisało.

To, że Witkiewicz zajął się stylem zakopiańskim z zapałem i wiarą w jego ogólnopolskie znaczenie, zawdzięczać należy przedewszystkiem temu, że znalazł robotników twórczych w góralach, którym nie kreślił nigdy drobiazgowych planów, poprzestając na szkicach i notatkach. Sam powiada, że nie byłoby stylu zakopiańskiego w tem znaczeniu, jakie on mu nadał, gdyby nie miał pod ręką gotowych jego wykonawców.

A jednak lud ten traci swoją kulturę pod wpływem ludzi klas wyższych. Pisze o tem Witkiewicz w Po latach: „Stała się rzecz dziwna, choć konsekwentnie wynikająca ze zmiany stosunków. Myśmy znaleźli górala w pysznej, ozdobnej chacie, otoczonego artyzmem, który przezierał z każdego sprzętu, każdego szczegółu pospolitego użytku. Jego chałupa była skarbnicą kultury dawnej, przechowanej przez ten lud, kultury, która wprawdzie żyła, ale nie rozwijała się wskutek nieruchomości warunków ludowego życia. Była też ona skazana na konanie, na zanik i zdawała się czekać ocalenia, wołać o ratunek. Uratowaliśmy ją" *).

Rzuca to wyraźne światło na stosunek Witkiewicza do budownictwa i zdobnictwa ludowego na Podhalu: dało mu ono podstawę do stylu zakopiańskiego, ale natenczas góral już za nim nie poszedł. Ten góral cofnął się w swojej kulturze fatalnie wstecz, żyjąc, jak nędzarz, w ciasnocie i brudzie, wyzbywając się swojej chaty dla gości, lub budując dla nich bezstylową tandetę. Dzisiejszy góral nie potrzebuje dla siebie ozdoby życia i z czasem, w przekonaniu Witkiewicza, całkiem zatraci swoje poczucie piękna**).

Dalej. Jak zatraca góral swoją rodzimą sztukę, podobnie zatraci i swoją gwarę, która tymczasem weszła już do literatury i która, zdaniem Witkiewicza, stanowi prawdziwy skarb górala. Mowa ta posiada pierwszorzędne walory estetyczne i z tego też punktu widzenia zwrócono na nią uwagę. Naturalnie, punktem wyjścia były tu opowiadania Sabały, notowane przez Bronisława Dembowskiego, Witkiewicza i Sienkiewicza. I tę oto, wyjątkowo piękną i charakterystyczną, gwarę górale mogą postradać. Witkiewiczowi nasuwają się tutaj dwie kwestje: 1) czy należałoby narzucać gwarę góralską polskiemu piśmiennictwu wogóle i 2) jakby ją można było ocalić, żywą i nieskażoną? W pierwszej kwestji Witkiewicz zajął stanowisko negatywne, natomiast pielęgnowanie gwar ludowych wogóle stanowi dlań zagadnienie w całej swojej rozciągłości żywotne. Gwara góralska niszczona jest przez życie, ale ona może i powinna służyć ludowi, może też wzbogacić język polski, jako zawierająca w sobie maximum jego pierwiastków plemiennych. Wszystkiego pisać gwarą niema potrzeby, ale może ona zasilać język nawet najpierwszych mistrzów, jak ma to miejsce chociażby w Krzyżakach Sienkiewicza, albo w Tetmajera Na skalnem Podhalu. I gwarę tę trzeba ratować. Należy zrobić wypisy gwarowe dla szkół ludowych, jak należy budować szkoły ludowe w stylu danej ziemi. Zagadnienie to, jak wiemy, podjął dzisiaj regjonalizm i kwestje te obecnie przedstawiają się już zgoła inaczej, niż za dni Witkiewicza, jakoż i kulturze podhalańskiej nie grozi już dzisiaj zagłada. Ale tu przyszła z pomocą nowa idea i nowi ludzie, nie przyszło zaś z pomocą życie, które w dalszym ciągu zalewa i niszczy tę bogatą ludową kulturę.

Jakoż wróćmy do Witkiewicza. Za upadek kultury góralskiej czyni on odpowiedzialnem życie, które tu przyszło z równin, życie klas wyższych. Uderzyło ono zarówno o lud, jak i o naturę, ogarnęło Zakopane i stara się ogarnąć Tatry — to ludzkie życie normalne i pospolite, jak je Witkiewicz nazywa. Ludzie przynieśli tutaj z sobą płaskość, bezduszność i małostkowość stosunków, i jeszcze jedną rzecz przynieśli — złą wolę.

Pierwsi, którzy tu przychodzili, jak Chałubiński, Helena Modrzejewska, prof. I. Baranowski, Dembowscy, Witkiewicz, Matlakowski, Gnatowscy, żeby nie wyliczać innych, przynosili z sobą najlepszą cząstkę dusz. Było to prawdziwe pokolenie Tatr, po którem można się było spodziewać wspaniałego rozkwitu stosunków w Zakopanem. Stało się jednak inaczej. Zakopane zrobiło się stacją klimatyczną w myśl pragnień dr. Chałubińskego i Witkiewicza, ale też i pospolitem brudnem miastem z duszną i niezdrową atmosferą życia, przeprowadzającego różnicę między bogatym i biednym. To, co Witkiewicz pisze *) o skazanych na głód i nędzę ludziach biednych w Polsce, jak zżera ich gruźlica, jak leczą się w Zakopanem biedni, a jak bogaci, jak ci ostatni tańczą dobroczynnie na umierających nędzarzy, co pisze o loterjach fantowych i dobroczynnych zabawach, o Bratniej Pomocy Studenckiej i t. p. jest protestem i buntem, jest krzykiem człowieka, mającego otwarty wzrok duszy na krzywdy i niedolę ludzką. I możemy powiedzieć, że właśnie tutaj, w Zakopanem, w obliczu umierającej na gruźlicę nędzy, Witkiewicz stał się rewolucjonistą społecznym — nie poprzez teorje polityczne, takie czy inne, ale przez samo życie i poprzez ból, którym Witkiewicz wwiedział się w niezmierzony ogrom cierpienia. Ale też, z drugiej strony, tutaj zrozumiał potęgę miłosierdzia jednostek, czy stowarzyszeń w życiu społecznem narodu i ukorzył duszę przed głębią idei Chrystusowej. To miłosierdzie, tę inicjatywę dobroczynną w celu ulżenia nędzy i niedoli ludzkiej Witkiewicz nazywa „zasiewaniem kwiatów nad potwornemi przepaściami, na

*) Po latach, str. 37.
**) Tamże, str. 38.

*) W Po latach, str. 108 — 114.

dnie których zalega morowe powietrze". A jednak będzie się ztamtąd wydobywać nędza i zaraza dotąd, dopóki u podstaw nie zmieni się życie; dotąd też ludzie będą tańczyć na biednych.

Tańczyło na nich Zakopane. Pisał Witkiewicz, że nieuniknionym jego losem jest zamienienie się na miasto i należało już wtedy dostosowywać je do jego roli przyszłej, ażeby mogło spełniać zadanie, jako stacji klimatycznej dla chorych i jednocześnie zdrowego miasta dla innych. Należało już wtedy organizować „podstawy trwałych, zapobiegających nędzy instytucyj", oraz „podstawy swego przyszłego bytu na zasadach, które gdzieindziej zostały zdobyte doświadczeniem wieków" *), t. j. nie dopuścić do tego, aby tu powstało nowe miasto, zduszone, brudne i potwornie niezdrowe, będące ogniskiem dla chorób zakaźnych. Kiedy jednakże stosunki zakopiańskie ułożyły się właśnie tak, aby tutaj wyrosło nowe środowisko nędzy fizycznej i moralnej i chorób, natenczas Witkiewicz zerwał się do walki.

(D. c. n.). *Kazimierz Kosiński*

*) Po latach, str. 115.

WSPÓŁCZESNA PROBLEMATYKA RELIGIJNA.

Pokolenie dzisiejszych działaczy i publicystów spogląda niekiedy wstecz, w czasy swoich studjów uniwersyteckich i stwierdza z melancholijnem westchnieniem, że dzisiejszości brak potężnego rytmu wielkich zaprzeczeń i równie wielkich przyświadczeń. Życie dzisiejsze czyni wrażenie odkopywanej Pompei. Śród ocalałych szczątków zasypanego miasta błądzą nie poszukiwacze nowych źródeł życia i wielkich natchnień, ale spokojni, zrezygnowani archeologowie, usiłujący odtworzyć zaginione życie dla badawczego zaciekawienia. Jak potężnie przemawiały ongi do umysłów studjującej młodzieży wielkie twierdzenia i negacje, zmuszając do takiej lub innej postawy wobec świata! Jakie wspaniałe dyskusje toczyły się jeszcze przed ćwierćwieczem dokoła pewnych postaci i zdobyczy ich śmiałej myśli!

Dla młodzieńca, który wyruszał w świat z zacisznego bogobojnego domu, atmosfera miasta uniwersyteckiego stawała się Heraklesowem rozdrożem. Nie chodziło jedynie o to, aby przyswoić sobie pewną ilość wiadomości z pewnej dziedziny wiedzy i zdobyć dyplom. Audytorjum uniwersyteckie, bibljoteka, saminarjum, witryna księgarska, dyskusja z przyjaciółmi... wszystko domagało się wyznania wiary. Aby zaś można było złożyć wyznanie wiary, trzeba było wiarę zdobyć, albo odziedziczoną wziąć własnem sercem i umysłem w posiadanie. Niepodobna było przejść koło księgarni, aby z za jej okna nie zawołało na przechodnia wielkie imię i wielkie hasło.

Rzeczowo, systematycznie, z mocą wielkiej, erudycji wykładał Darwin swoją antropogenję, nowemi perspektywami przesłaniając tradycję świętego Pięcioksięgu. Zdumiewając olbrzymią uczonością i filologiczną wnikliwością Strauss analizował tradycję ewangeliczną, zmuszając słuchaczy do zajęcia wobec siebie postawy rzetelnej i stanowczej. Jedni dawali się mu łatwo przekonać i odrzucali skwapliwie domniemaną mitologję, inni zdobywali się na wielkie wysiłki, aby zachować to, co im było drogiem, a co wichry krytycyzmu odwiać usiłowały. Czarujący aforysta Nietzsche głosił z patosem nowoczesnego proroka, że Bóg umarł i że wślad za nim umrzeć ma człowiek, aby powstało miejsce dla nadczłowieka. Ernest Haeckel spoglądał z pod siwych brwi przenikliwemi oczami i opowiadał cuda o wszechmądrości i potędze atomu. Materja stawała się niezniszczalnem źródłem wszystkiego, co istnieje i istnieć będzie, dla wyobrażeń religijnych miał wielki przyrodnik tylko ironiczny wyrozumiały uśmiech. Jednocześnie znakomity Kuno Fischer stał jak żywy pośrednik między teraźniejszością a czasami Goethego i Schopenhauera. Od wschodu dochodziło coraz głośniejsze echo wynurzeń chorej duszy Dostojewskiego i niespokojnego serca Tołstoja, który w zacisznej Jasnej Polanie szukał sensu życia i spokoju duszy.

Niepodobna było pozostać obojętnym wobec tych wszystkich zjawisk życia! Trzeba było odpowiedzieć życiu: Tak! albo — zawołać głośno: Nie! Gorączkowo pochłaniało się przepiękne aforyzmy Nietzschego, ale zarazem chciwie słuchało się wszystkiego, co mogło zostać powiedziane przeciwko niemu. Twierdzenia Haeckla, że Boga niema, zmuszały do sformułowania sobie zagadnienia i znalezienia własnej odpowiedzi na odwieczne pytanie. Filozofja Kanta i Schopenhauera, traktaty Tołstoja, erudycja Straussa, wszystkie wielkie przeczenia i namiętne twierdzenia dawały przedewszystkiem głębokie odczucie, że człowiek wobec świata i Boga stoi sam, że niczyja miłość i niczyje poświęcenie nie może zdobyć dla niego życiodajnej prawdy. Każdy musi sam za siebie zstąpić w mroki wątpienia, aby posiąść blask i ciepło wiary, bez której niema życia.

To był wielki owoc usilnych poszukiwań, które oczywiście nie mogły obywać się bez błądzeń. Szukający błądzili, ale nie tracili z oczu wielkiego celu. Nie chcieli żadnych prawd konwencjonalnych, ale jednej niewzruszonej Prawdy. Kto jej szukał i błądził zrozpaczony po bezdrożach myśli, ten wie, jak dusza zmęczona szukając sprzymierzeńca, spotyka w pewnej chwili Chrystusa i zdumiewa się nagle nowością jego postaci. Chrystus dziecięcych pacierzy, cichy, zaświatowy Baranek Boży, który gładzi grzechy świata, staje się nagle Synem Człowieczym, dźwigającym wszystkie wątpliwości świata, a zarazem jest źródłem żywej wiary w życie. Z za ogromnego mnóstwa wiadomości naukowych wyrasta raptem świadomość, że nie o to chodzi, aby człowiek wiedział, jaka jest kolejność epok geologicznych, ile atomów wodoru i tlenu mieści się w molekule wody, jakie są odległości od ziemi do Betelgeuzy i Syrjusza, czy kosmogonja biblijna powstała pod wpływem Gilgameszu i czy teorja budowy atomu odpowiada rzeczywistości, ale chodzi o to, aby żyć pełnią życia i znaleźć wystarczającą odpowiedź na odwieczne pytanie: skąd się wywodzę i jakie jest moje przeznaczenie? To zagadnienie wyprzedza wszystkie inne zagadnienia, a jego rozwiązanie może dopiero dać wartość wszelkim możliwym poczynaniom ludzkim.

O ile kultura końca stulecia ubiegłego i początku obecnego była wysoce intensywną, sięgającą wgłąb, o tyle kultura najwspółcześniejsza staje się ekstensywną. Zatacza szerokie kręgi, niesie miljonom to, co było przywilejem garści wybrańców, ale zarazem staje się płytką. W stuleciu ubiegłem o panowanie nad duszami zmagali się mocarze ducha, obecnie mamy do czynienia z nawrotem średniowiecznej mechanizacji świata. I nawet nie brak analogji głębszych. Średniowieczna mechanizacja świata przez Kościół rzymski była do pewnego stopnia koniecznością wobec młodych ludów barbarzyńskich, na które siłą trzeba było przeszczepiać resztki zagrożonej kultury łacińskiej. Nasze czasy mutatis mutandis przypominają bardzo żywo wędrówkę ludów. Znakomity poeta francuski i myśliciel, Paul Valery, dał temu wyraz w swojej wybornej rozprawie o kryzysie ducha. W myśli człowieka dzisiejszego zbiegły się prądy tak silne i tak sprzeczne, że rezultatem tej rozbieżności musi być anarchja.

Instynkt samozachowawczy społeczeństw już dostrzegł przyczyny tej groźnej anarchji i szuka na nią leku. Z przewartościowanych przez Nietzschego wartości stara się zaniepokojona myśl ocalić rzeczy bezwzględnie cenne, wiecznotrwałe i doszukuje się gorączkowo wartości nieprzemijających. Ale które to są? Znakomity astronom francuski, Camile Flammarion, przemawiając nad grobem przyjaciela, powiedział, że gdyby świat nie miał określonego celu moralnego, to w jedynym ruchu łapki małej mrówki byłoby więcej sensu, niż w istnieniu wszystkich niezmiernych światów. Historyk literatury francuskiej, Lanson, w podręczniku swoim rzuca takie same pytania: Skąd się wywodzimy i dokąd idziemy? Duch ludzki podobny do nurka, szukającego pereł w głębi morza, stał się lekkim i wypłynął na powierzchnię życia. Jego wzrok zwraca się znowu ku głębiom i bogactwom tych głębi.

Ale dzisiaj nie mogą już zadowolić nikogo sztuczki djalektyczne i spychanie odpowiedzialności za istnienie na jednostki. W stuleciu ubiegłem wzbudził wielki zachwyt wszystkich dewotek i dewotów aforyzm Brunetièra: „Ce que je crois, allez le demander à Rome" (W co wierzę, o to idźcie się zapytać do Rzymu). Większej obojętności człowieka „religijnego" i ultra-katolickiego, jakim bym Brunetière, wyobrazić sobie niepodobna. Tu niema miejsca na jakąkolwiek problematykę religijną. W Rzymie wiedzą, w co rzymski katolik wierzy i wszystko jest w porządku. W takiej atmosferze nie mógł być zrozumiany znakomity mówca karmelicki, Hyacinthe Loyson, który w drugiej połowie ubiegłego stulecia równie gorliwie krzewił zasadę katolickości i uniwersalności Kościoła, jak zwalczał tego Kościoła partykularyzm rzymski. Nawróciwszy na katolicyzm panią Meriman, ewangelicką Amerykankę, sam został przez nią nawrócony na ewangelicyzm, chociaż formalnie pozostał katolikiem w tem znaczeniu, że w jego katolicyzmie uniwersalnym było miejsce dla wszystkich bez wyjątku chrześcijan, nie wyłączając np. kwakrów. Ten wyjątkowy człowiek nietylko, że nie odsyłał ciekawych do Rzymu, aby zapytali w co wierzy, ale ostro krytykował tyranję Rzymu, domagając się ewangelicznej wolności sumienia.

Dziennik i listy do pani Meriman, która z córy duchownej stała się jego małżonką i matką duchowną, są wysoce ciekawe i godne polecenia. Nawiasem dodam, że w zbiorku „Christianisme" wyszły dwa tomiki dotyczące O. Loysona, a mianowicie: „Du sacerdoce au mariage. Le P. Hyacinthe" oraz: „Gratry et Loyson" (Les éditions Rieder, 7 Place St. — Sulpice, Paris). Obie te książki są ciekawe same przez się, a także i przez to, że zostały wydane dzisiaj, i to przez ludzi, którzy do chrześcijaństwa odnoszą się krytycznie i z uprzedzeniem nieżyczliwem. Książki te rozchodzą się szybko i znajdują licznych czytelników, pomimo, że we Francji po głęboko wierzącym katoliku Brunetièrze przyszła moda na ateistycznego katolika Maurrasa. Loyson, wysuwający na czoło prawa wolności sumienia i Maurras domagający się katolicyzmu rządzącego i panującego, to dwa okresy zainteresowania się ludzkości problematyką religijną. Jeden z nich pragnie religji wyzwalającej, drugi chce, aby religja ujarzmiała masy i służyła celom politycznym. Papiestwo potępiło zarówno Loysona jak i Maurrasa.

Mamy tu do czynienia z rzymską mechanizacją, która naprzód dąży do zdobycia władzy, a dopiero potem przepisuje wierzenia. Tak samo

po katolicku postępuje Mussolini i Primo de Rivera: dla obu siła idzie przed prawem i wyłącza wolność indywidualną. Oczywiście, posłuch wymuszony nigdy nie posiada tej siły, co posłuch dobrowolny, a gwałt odciska się zawsze gwałtem. Konwencjonalizm wierzeń umówionych stoi w stosunku do własnych zdobyczy ducha na poziomie natury nieorganicznej w stosunku do organicznej. Natura nieorganiczna poruszana jest wolą zewnętrzną, mechanicznie, organiczna żyje i rozwija się siłą własnej wewnętrznej dynamiki. Tylko zupełna pogarda dla religji może stać na stanowisku Brunetièra, odsyłającego pytających o wiarę do Rzymu, albo na stanowisku Maurrasa, dla którego wiara Kościoła jest śmieszną, ale jego organizacja i dyscyplina społeczno-polityczna jest pożądaną.

Toteż dzisiejsza problematyka religijna, żyjąca jeszcze ciągle z wielkiego kapitału ubiegłego stulecia, znajduje przytułek u nielicznych badaczy i wierzących, którzy zdają sobie sprawę, że pojęcia wiary, Boga, Opatrzności, religji i religijności, posiadają już zbyt rozległą synonimikę, aby można było obejść się nadal bez dokładnego ich zdefinjowania a zarazem rzetelnego ustosunkowania się do rzeczywistości. Poważne pytania zadają człowiekowi takie wydarzenia jak wojna ostatnia z jej straszliwemi cierpieniami, jak kataklizmy żywiołowe w Japonji i w Ameryce. Nic nie może się dziać na świecie bez woli Bożej. Jak więc człowiek dzisiejszy wyobrazi sobie niezaprzeczone istnienie zła i cierpienia? Geologicznie rozumiemy doskonale dlaczego ziemia trzęsie się w Japonji, ale moralno-teologicznie stoimy tu wobec wielkiego zagadnienia. Podobnież łatwo tłumaczymy sobie wybuch straszliwej wojny światowej, bo politycznie, społecznie, dyplomatycznie wszystko jest dość jasne. Ale zaraz rodzi się pytanie o stosunku wszechmocnego i wszechdobrego Boga do ślepego, złego żywiołu, który w rozpętaniu swojem niweczył życie niewinnych dzieci i bezbronnych kobiet, a oszczędzał sytych i bezpiecznych winowajców tych straszliwych nieszczęść.

Oczywiście, że wszystko to może znaleźć łatwe wytłumaczenie, jeśli się całą historję świata uważa za nikły fragment wieczności. Lecz tu widzimy właśnie zagadnienie wszystkich zagadnień: żywości i siły wiary w wieczne istnienie człowieka. Trzeba sobie powiedzieć, że wiara współczesnego człowieka w podstawowe prawdy religji chrześcijańskiej jest raczej melancholijnym pesymizmem i sceptycyzmem. Człowiek pragnie, aby życie zagrobowe było realizacją wszystkich pragnień i tęsknot niezliczonych pokoleń, ale nie odważa się w to wierzyć z taką siłą, z jaką wierzył jego średniowieczny przodek. I nie sama wiara nastręcza trudności. Przeciwnie, wiara ta ma potężnego sprzymierzeńca w każdem sercu człowieka, ale dotychczas nie znalazła ona wyrazu dość współczesnego.

Teologja stała niegdyś na czele wszystkich nauk, nadając ton i wartość wszystkim innym naukom. Nie był to jedynie wyraz wielkich pretensji teologów. Teologja była syntezą wszystkiego, co ludzkość o świecie wiedziała, i do wszystkich zagadnień świata i życia ustosunkowała się tak, jak tego wymagała umysłowość powszechna. W stosunku do innych gałęzi wiedzy ludzkiej teologja średniowieczna stała bardzo wysoko. Niestety, nie trwało to zbyt długo. Rychło zaczęli teologowie korzystać ze swego uprzywilejowanego stanowiska i żywa niegdyś wiedza wyrodziła się w bezduszną scholastykę. Dopiero czasy Odrodzenia i humanizm przyniosły teologji nowe życie i nowe wysiłki, ale szybka specjalizacja poszczególnych dziedzin wiedzy i ogromny ich rozwój uniemożliwiały teologji syntetyzowanie niezmiernego materjału. Dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek, odczuwamy brak wielkiej syntezy. Analityczna specjalizacja rozbiła świat na części i cząsteczki, schaotyzowała go niemal, a ludzkość czeka na twórcze syntetyzujące słowo, wnoszące w mgławicę rytm ładu i porządku.

Niestety, zadanie jest o tyle trudniejsze, niż dawniej, że brak skupiającej energji zainteresowania. Masy zobojętniały wobec religji i przestały się nią interesować jak niegdyś. Uwagę szerokich rzesz przykuwają zagadnienia gospodarcze, zdobycze wiedzy i techniki. Kino, radjo, aeroplan aktualizują chwilę i przesłaniają wieczność. Pewne prądy społeczne głoszą zupełne desinteressement wobec religji, albo wypowiadają jej walkę. Dla skrajnych prądów socjalistycznych religja jest produktem pewnej sytuacji gospodarczej pradawnych czasów i nie może w swojej tradycyjnej postaci obowiązywać czasów naszych: Zwalcza się ją przeto jako przeżytek, ale zapomina się zupełnie, że wiedza nasza nie zaspakaja jak dotąd potrzeb ducha, a człowiek nie zrezygnuje nigdy z pragnienia poznania bezwzględnej prawdy. Jeśliby nawet społeczeństwo dzisiejsze zostało całkowicie pochłonięte walką gospodarczą, i to walką tak bezwzględną, że w niej zostałyby zapomniane wszystkie wyższe potrzeby ducha, to w chwili skończenia się tych walk, duch wróci tam, skąd wyszedł. Choćby niedole życia dzisiejszego zastąpione zostały najwyższym wyobrażalnym błogostanem, człowiek, dopóki nie przestanie być człowiekiem, będzie z uporem najistotniejszego dążenia swego ducha powtarzał odwieczne pytanie: Skąd się wziąłem na tym świecie i czego chcą ode mnie te Moce, które mnie do istnienia powołały? I nie ustanie duch człowieczy w poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie, dopóki go nie znajdzie.

Z problematyki religijnej wyrastała i zawsze wyrastać będzie kultura ludzka. Historja cywilizacji już dawno zdała sobie sprawę, że kultury są wytworem ubocznym poszukiwania prawdy. Cywilizacja rodzi się w chwili, w której duch

spostrzega głęboką tajemnicę w rzeczach powszednich. Mnożą się objawy wybiegania myślami poza zjawiska i sprawy powszednie; pojawią się niewątpliwie nowe wielkie syntezy przeczeń i przyświadczeń. Dzisiejsza mechanizacja świata ustąpić musi wewnętrznej dynamice. Dyktatura instytucjonalizmu rzymskiego zrobi miejsce indywidualizmowi osobistego przeświadczenia, wolne sumienie wyrazi swoje wątpliwości, a wyzwolony umysł szukać będzie Boga, aż Go znajdzie.

P. Hulka-Laskowski.

ŹRÓDŁA FILOZOFJI SŁOWACKIEGO WEDŁUG JULJUSZA KLEINERA*).

Ze sprowadzeniem na Wawel prochów Juljusza Słowackiego zbiegł się szczęśliwie fakt ukazania się w druku czwartego (i ostatniego) tomu świetnej monografji prof. Juljusza Kleinera, poświęconej dziejom twórczości tego — obok Mickiewicza — najpotężniejszego genjusza poetyckiego Polski. Tom ten, podzielony na dwie części, zawierające łącznie około tysiąca stronic druku, olśniewa zarówno zdumiewającą erudycją uczonego, jak i zupełnie niezwykłą intuicją i wrażliwością estety, które to właściwości prof. Kleiner tak harmonijnie łączyć umie w swoich studjach historyczno-literackich. Ponadto jest on niewątpliwie najciekawszym z całego dzieła, ponieważ traktuje o Słowackim, jako poecie-mistyku, i poświęcony jest jego twórczości genezyjskiej, której gruntowne zrozumienie i odczucie nastręcza po dziś dzień tyle ogromnych — nietylko dla przeciętnego czytelnika — trudności.

Nie mam tu zamiaru omawiać ani całokształtu tego znakomitego dzieła, ani nawet całego ostatniego tomu—zadanie to podjąć winni i napewno podejmą nasi historycy literatury — chciałbym tylko podzielić się z czytelnikami moim podziwem dla tych ustępów książki, w których autor mówi o źródłach filozofji Słowackiego.

„Z wiary widzącej, pisze prof. Kleiner, która była zdrojem odżywczym utworów i usiłowań działalności praktycznej, Słowacki wysnuł dwie prawdy naczelne, zrozumiałym czyniące świat, sens jasny dające życiu.

Upatrywał w nich tezy kopernikowskie o budowie kosmosu, epokowe rewelacje tego ezoterycznego towianizmu, który on dopiero, autor „Genezis" i „Króla-Ducha", on, „republikanin z ducha", form nowych zwiastun, odsłonić miał całkowicie Polsce i ludzkości—podstawy ewangelji nowej, której błogosławieństwo on dopiero, głosiciel papiestwa przyszłego, wieścić miał „urbi et orbi", miastem wybranem, Rzymem przyszłości, czyniąc ojczyznę swoją i w jej imię wiodąc do Jeruzalem apokaliptycznej.

Pierwsza z tych tez brzmiała: Wszystko z ducha i dla ducha, a nic dla cielesnego celu nie istnieje.

Druga, dopełniająca, stwierdzała, że Bóg jest względem wszelkiego stworzenia sprawiedliwy, a duchy same winne są wszelkiej nędzy doczesnej".

O pierwszej z tych prawd autor — zupełnie słusznie — twierdzi, że wyłoniła się ona z najgłębszych postulatów epoki romantycznej; o drugiej zaś—że jest ona dowodem, jak zasadniczą rolę odgrywa w filozofji Słowackiego pierwiastek religijny — „nie samo uznanie Boga, lecz bezwzględna wobec Boga ufność". Pozatem wynikła ona z wyczuwanej po latach wyjaskrawionego irracjonalizmu potrzeby wykazania racjonalności wszechżycia i jego zgodności z etyką, kiedy „istotnym problematem filozoficznym stał się — problemat „Teodycei" Leibniza: pogodzenie sprawiedliwości Bożej z istnieniem zła i cierpień".

Słowacki rozwiązał ten problemat przez zdjęcie z Boga wszelkiej odpowiedzialności za stworzenie i przeniesienie jej całkowite na ducha człowieczego; osiągnął zaś to rozwiązanie przez zespolenie dwóch idei: metempsychozy i stworzenia pośredniego.

Istotnie — wiara w metempsychozę, czyli w reinkarnację pozwala uznać za sprawiedliwe i racjonalne wszystko, co człowieka kiedykolwiek spotka, zgodnie z myślą indyjską, na której oparte zostało prawo Karmy: „co dzieje się w bycie teraźniejszym, uzasadnione jest poprzedniemi formami bytu tej samej duszy i stanowi przyczynę form późniejszych". W tej zasadzie reinkarnacji rękojmię sprawiedliwości widzieli według Kleinera: Orygines, gnostyk Basilides, przyrodnik Karol Bonnet, wprowadzający zagadnienie metempsychozy na teren naukowy, oraz teozofowie współcześni z pod znaku Bławackiej i Annie Besaut. Słowacki wiarę tę mógł wchłonąć z atmosfery swej epoki i z ożywionych przez nią najrozmaitszych tradycyj.

„Platońską naukę o przebywaniu poprzedniem w świecie idei i o przypominaniu sobie wiedzy, oglądanej niegdyś w zaświatach — pisze prof. Kleiner — wergiljuszowski obraz poetyczny dusz

*) Juljusz Kleiner. Juljusz Słowacki. Dzieje twórczości. Tom czwarty. Poeta mistyk. Nakład Gebetnera i Wolffa 1927.

przed urodzeniem, nakreślony w księdze VI „Eneidy" — wspierały zarówno tajemnicze głosy dogmatów indyjskich, jak niejasne wierzenia druidów celtyckich i wieści egzotyczne o religji Siamu. Orygenes, budzący w tej epoce żywe zainteresowanie, i biskup Nemesios godzili się z Saint-Martinem, wołającym: „Nigdy wątpić nie będę, żem istniał przed przybyciem na ten świat, będący widownią ekspiacji". Leroux wywodami filozoficznemi wtórował poezji Wordswortha a Coleridge w każdej chwili życia odkrywał ślady żywota poprzedniego. I panowała bezwzględnie ta wiara w Kabale, którą okultyzm wieku XVIII i XIX, szczególniej zaś martynizm wznosił na piedestał najwyższy".

Ale wiara w metempsychozę nie wystarczała, aby usunąć z duszy poety indywidualne poczucie krzywdy doznanej. Zło i cierpienie tylko wtedy możemy przestać uznawać za narzucone nam przez strukturę ziemskiej rzeczywistości, jeśli uczujemy się stwórcami tej rzeczywistości i weźmiemy na siebie — zresztą przepełniającą nas dumą twórczą — odpowiedzialność za nią. Dla tak rozumującego poety „realny napół teren reinkarnacji zmienił się w mgły kosmogoniczne. Wracają zagadnienia i marzenia, które zajmowały kapłanów Wschodu i pierwszych myślicieli Grecji, które ożyły u neoplatoników, i w herezjach najdawniejszych chrystjanizmu, i w konstrukcjach Kabały, a poprzez mistyków nowszych z Jakóbem Boehmem na czele doszły do romantyków, by znowu olśniewać i znowu do snów bezkresnych kołysać".

Według prof. Kleinera drogę polskim pomysłom mistycznym na temat pradziejów kosmosu wskazały Gnoza i Kabała. Trudno mi w krótkim artykule streszczać szczegółowo dziwne fantazje kosmogoniczne, zawarte w obu tych systemach, zaznaczam więc tylko, że dla teorji genezyjskiej Słowackiego ważnem w nich było szczególnie wprowadzenie pomiędzy Bogiem a światem ogniw pośrednich (w Gnozie „eonów", w Kabale „Sefirot")—i ich pośrednictwu przypisanie dzieła stworzenia wszechświata.

Kabalistyczne ideje zjednoczyły się z koncepcjami Gnozy u słynnego szewca teozofa z w. XVII. Prof. Kleiner tak pisze o tem zjawisku: „Jakób Boehme, nowy adorator Sophii, mądrości niebiańskiej (eon żeński u gnostyków), kontynuuje fantazję o kształtowaniu świata materji przez siłę niższą od Boga i nawet wrogą, zbuntowaną. Psychologicznie uzasadnione to u mistyka, który w genezie wszelkiego życla, w początku świata, w istocie utajonej Boga silniej niż ktokolwiek przed nim, i niemniej silnie od Schopenhauera, wyczuwa—tragizm". Saint-Martin tak streszcza teorję Boehmego o działalności tej siły niższej, kształtującej świat materji: „Przyroda dzisiejsza tworzyła niegdyś państwo jednego z książąt anielskich, zwanego Lucyferem; książe ten chciał panować tylko mocą ognia i gniewu, a usunął królestwo miłości i światła Bożego. Zapalił on cały okrąg państwa swego. Mądrość niebiańska przeciwstawiła temu pożarowi potęgę łagodzącą i chłodzącą... stąd zmieszanie dobrego i złego".

Według prof. Kleinera i Gnoza, i Kabała, i mistyka Jakóba Boehmego aktualne były w momencie, gdy krystalizował się system Słowackiego, nietylko dla niego samego, jako dla towiańczyka, ale dla całego romantyzmu, i wogóle każdego, kto interesował się wówczas francuskim ruchem umysłowym i literackim. Nie będę tu wymieniał wszystkich autorów dzieł, których wylicza prof. Kleiner i którzy zajmowali się wówczas temi trzema systemami mistycznemi, chcę tylko powiedzieć kilka słów o jednym z nich, Aleksandrze Guirand, członku Akademji, przetwórcy kosmogonji Boehmego i autorze dzieła p. t.: „Philosophie catholique de l'histoire", ogłoszónego w wydaniu drugiem w r. 1841. Pisarz ten, według przekonywujących wywodów prof. Kleinera, b. silnie oddziałał na koncepcję kosmogoniczną Słowackiego. Według tego pisarza „na początku Bóg stworzył niebo — pierwiastek duchowy, anielski, i ziemię— pierwiastek materjalny. Element anielski — to Lucyfer „niosący światło". Archanioł ten, trwając w jedności z Bogiem, udzielił bytu aniołom. Następnie jednak zapragnął sam, w oderwaniu od Boga, wyzyskać siły twórcze w stosunku do materji. Przeniknął ją swym żarem zapładniającym, zamiast jak poprzednio, użyczyć jej tylko promieni czystych; rozgrzał on i rozruszył zarodki wszelkie, spowodował nagłe i niepełne skupienia. Materja zatraciła eteryczność i świetlistość, skupiła się, zgęstniała, ściemniała — i w tym stanie potrójnego zniżenia natury pierwotnej dała początek ciałom. Część aniołów poszła za Lucyferem — i w świecie archanioła, który stał się szatanem — „światło zgęszczone jak wszystko inne, było już tylko ogniem. Gdy zaś Bóg w drugiem stworzeniu, podnosząc ponownie upadłą materję, oddzielił światłość od otchłani, która je zdusiła — Szatan Lucyfer całkowicie pozbawiony został światła i pozostał mu jedynie ogień". Zobaczymy, ile z tej kosmogonji, której streszczenie podałem tutaj w słowach prof. Kleinera, weszło do systemu Słowackiego.

Obok metempsychozy i stworzenia pośredniego w kosmogonji poety widzimy jeszcze wiarę w zdolność zyskiwania przez Ducha coraz wyższej doskonałości w kształtach coraz nowych czyli t. zw. ewolucjonizm metempsychiczny. Prof. Kleiner widzi tu wpływy przyrodnika i filozofa szwajcarskiego, Karola Bonneta, który zdolność doskonalenia się „perfectibilité", uznaje za cechę każdego stworzenia żyjącego, a przedewszystkiem — Jacques'a Bouchera de Crèvecoeur de Perthes, archeologa, przyrodnika, psychologa, filozofa, socjologa, ekonomisty, filantropa, pamiętnikarza, dramaturga, liryka, satyryka, dyplomaty, podróżnika, badacza człowieka przedpotopowego i epoki kamiennej, twórcy muzeum starożytności w Saint-Germain en

Laye — i zapomnianego niesłusznie poprzednika Darwina.

Ten niezwykle płodny i wielostronny pisarz, idąc śladami Leibniza, Bonneta i Lamarcka, twierdził, że wszystkie istoty żyjące są z sobą najściślej spokrewnione i tworzą jednolity nieprzerwany szereg „Od istoty najniższej do najwyższej są jedną tylko rasą, jedną rodziną. Ale niedość na tem. Rośliny zwierzęta, ludzie — są to te same jednostki w różnych epokach swego ukształtowania i swego postępu, względnie cofania się. Zwierzę, o ile nie jest człowiekiem zezwierzęconym i upadłym, jest człowiekiem w stanie zarodkowym, człowiekiem w stanie dziecięctwa". Dusza, rozwijając się, tworzy sobie ciała. Twórcza siła duszy — to motor dziejów wszechświata. „Wszystkie ciała organiczne, wszystkie globy, wszystkie słońca są wynikami pracy dokonanej przez inteligencję". Bodźcem zaś twórczości — cierpienie, a czynnikiem umożliwiającym przechodzenie w wyższe fazy ewolucji — śmierć. Pozatem — co również ważne dla teorji Słowackiego — rozwój wyższych form jest dziełem najdoskonalszych jednostek formy poprzedniej.

Oto według prof. Kleinera, najważniejsze źródła genezyjskiej filozofji naszego mistyka-poety. Łatwo zrozumieć ile pracy kosztowało ich odszukanie, jakiej wszechstronnej wiedzy wymagało przewertowanie i przeniknięcie. Streszczając tu pokrótce i z konieczności pobieżnie imponujące rezultaty dociekań znakomitego uczonego, czynię to przedewszystkiem w tym celu, aby zachęcić Czytelników do zapoznania się z jego monografją o Słowackim, która zawiera takie imponujące bogactwo materjału, często zupełnie jeszcze niewyzyskanego.

Leon Rygier.

PRZEBUDZENIE.

(GŁOS CZYTELNIKA)

Sto pięćdziesięcioletni Jubileusz! Nareszcie! Nareszcie przebudziła się z odrętwienia nasza Reformacja! Nasz prawdziwy narodowy Kościół Polski.

Lepiej późno, jak nigdy, mówi francuskie przysłowie — to prawda — ale dzisiaj po tem odrętwieniu czy zaniedbaniu tem większa praca i tem większa, silna energja wstępować winna w naszą garstkę wyznawców — tak strasznie rozbitą — zachwaszczoną i zobojętniałą.

Gdzie to podziały się te czasy — gdy jeszcze 80 lat temu w Zborze Sieleckim przy chrzcie moim asystowało 50 wyraźnie pięćdziesiąt par Ewangelików - Reformowanych samej wybitnej karmazynowej szlachty, jak: Suchodolscy, Kosecy, Konarscy, Stryjeńscy, Rusoccy, Wielowiejscy, Szaniawscy, Różyccy, Bobrowniccy, Świdowie, Grabowscy, Kurnatowscy, Bronikowscy i tylu, tylu innych? Rok rocznie — cztery razy do roku, zjeżdżano się do Sielca na uroczyste nabożeństwa, które odprawiał przezacny, a taki rozumny i świętobliwy ksiądz Andrzej Skierski. — Zdawało się, że to grono wykształconych szlachetnych, a tak gorliwych wyznawców, a najżarliwszych patryotów polskich, będzie pochodnią przewodnią prawdy, wiary i świecznikiem przyszłości! — Niestety! Małoduszność gubiła nas i gubi dotąd. „Obyś był zimny, albo gorący, ale nie letni" — to święta prawda — ta letniość, ta wstrętna bezbrzeżna obojętność na sprawy Ducha sprawiła, że pomału odpadaliśmy od Idei Chrystusowej, a podpadali w obłudną czczą formę i obrządki niemal pogańskie.

Z upadkiem umiłowanej Ojczyzny upadliśmy i my, jej najwierniejsze dzieci — w upodlenie moralne.

Fałszywa zasada, że „Polak musi być katolikiem" — jak robak toczący rdzeń korzenia — tak toczyła prześladowaniem patryotycznie najdzielniejsze jednostki i wsiąkała jak trucizna w najszlachetniejsze charaktery. — Tak niezawodnie — niewola fizyczna narodu poddawała nas w moralną niewolę Ducha.

Baliśmy się formalnie wyznawać prawdę — ażeby nas czasem nie posądzono o zdradę narodową. — Zadziwiająca ciemnota i małoduszność! Ale dobrze Chrystus Pan przestrzega: „kto się mnie zaprze — zaprę się go i ja przed ojcem moim w niebie". Upadaliśmy swoją letniością i wpadali bezwiednie niemal w ohydną obojętność dla tych najwznioślejszych zasad, dla których męczeństwem najdzielniejszych jednostek w kraju wybiliśmy się na świecznik prawdy z bagna barbarzyństwa, fałszu, obłudy i ciemnoty. Faktem jest bowiem niezaprzeczonym, że protestantyzm — czyli p r o t e s t przeciwko nadużyciom ochronił Chrześcijaństwo od kompletnego pogaństwa.

Nie mam słów oburzenia na ten zanik najczystszych najświętszych zasad człowieka — 150 lat Ojczyna była w niewoli, a my przez te 150 lat zamiast hartem ducha wznosić się coraz w górę i liczbę — upadaliśmy bezwiednie, bo nasza letniość — małoduszność i obojętność nie miała granic.

Kobiety, jak dzieci, dla których zewnętrzna forma stanowi treść życia — przepadały — przepadają i przepadać zawsze będą za pompą — chorągwiami — obrazami — szychem — kadzidłem i zewnętrznemi oznakami religji, a mieszane małżeństwa — bardzo wiele się przyczyniły do odszczepieństwa.

Czasy są bardzo poważne — ciekawe — groźne a niebezpieczne. Nihilizm — bezwyznaniowość — bolszewizm i pogańskie ludy Azji — coraz wyżej podnoszą głowę i zagrażają nie na żarty chrześcijaństwu. Nam nie wolno zasypiać sprawy. — Z małej iskierki powinien się wzniecić wielki ogień miłości Boga, Ojczyzny i ludzkości całej. My Ewangelicy, jako prawowierni, pierwsi chrześcianie utwierdzeni czterema Ewangeljami Chrystusowemi, bez żadnych dodatków i poprawek ludzkich — winniśmy całą siłą woli, rozumu i serca, podnieść hasło prawdy i miłości wszechstronnej.

Rosja padła dlatego, że był to kolos o glinianych nogach — że greca fides nulla fides — widzimy co się dzieje w Meksyku obecnie — komunizm vel nowożytny poganizm coraz szersze zatacza koła nawet i u nas.

Rodacy moi! i współwyznawcy! Obudźmy się z tej martwoty i wstrętnej obojętności — pracujmy mężnie i wytrwale w naszej maleńkiej winnicy pańskiej. Niechże Duch Rejów — Konarskich — Firlejów i innych wstąpi w nas z całą siłą patrjotyzmu i oświaty — niech wskrzesi zapał XVI wieku — niech wzbudzi tę moc, ten ogień energji siły i prawdy, z jakim walczyli nasi przodkowie — oni stwarzali potęgę ojczyzny — dobrobyt — oświatę — kulturę, oni byliby pociągnęli lud za sobą — i zapewnili niezwalczoną siłę, oni nareszcie pozostawili kwitnącą Polskę!... A dzisiaj? — Dzisiaj ojczyzna w niebezpieczeństwie duchowem, a więc teraz na nas spadł obowiązek podźwignięcia tego sztandaru. Obowiązek ciężki na nasze marne i wątłe siły — ale Rodacy! od czegóż nasza wiara i duch zbawczy narodu! Podnieśmy śmiało ten sztandar zgody — pokoju i miłości — przygarnijmy wszystkich zbłąkanych. Niechże nasz kościół będzie tym opiekunem stroskanym i wykolejonym — niech będzie opoką wątpiącym, przygarniajmy wszystkich do siebie nie tylko ze swojej owczarni — z miłością i wyrozumieniem, tak każe Pan — a kto wytrwa aż do końca — ten zbawion będzie.

Witold Tarcza.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

Synod Jednoty Ewangelicko-Reformowanej Wileńskiej w Wilnie dn. 25 — 30 czerwca r. b.

Tegoroczny Synod rozpoczął swe obrady w dniu 25 czerwca r. b. uroczystem nabożeństwem odprawionem przez ks. Superintendenta Generalnego Jednoty Wileńskiej M. Jastrzębskiego, w czasie którego kazanie wygłosił kaznodzieja Zboru Wileńskiego ks. Jan Kurnatowski. Na nabożeństwie obecnym był przedstawiciel p. Wojewody Wileńskiego. Bezpośrednio po nabożeństwie, pod przewodnictwem tymczasowem ks. Generalnego Superintendenta przystąpiono do obrad synodalnych Zapoczątkowano takowe odczytaniem listu Księżniczki Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny do Synodu W. Ks. Litewskiego, datowanego z Nejburga r. 1689, w którym ta gorliwa chrześcijanka i współwyznawczyni nasza apeluje do członków Synodu, by gorliwie pieczowali o stan duchowy powierzonego ich opiece Kościoła, poczem ukonstytuowano drogą wyborów stałe prezydjum Synodu, a mianowicie: na Dyrektora tegorocznego Synodu obrany został znaczną większością głosów p. mecenas Eugenjusz Falkowski, na cenzora ks. Generalny Superintendent, na notarjusza Kanonów i memorjałów p. Zygmunt Mieszkowski. Po zawiadomieniu Pana Ministra W. R. i O. P. o otwarciu sesji synodalnej, rozpoczęły się właściwe obrady przy udziale kuratorów Synodu w liczbie 16, duchownych Jednoty (3), delegatów parafji Wileńskiej, Boratyńskiej, Kupiczowskiej i Ozierańskiej.

Jako gość obecnym był na Synodzie przedstawiciel naszej Jednoty Reformowanej ks. Pastor Zboru Łódzkiego L. Zaunar. Drugi nasz delegat, W-ny p. Prezes K. Tosio z powodu słabego zdrowia przybyć niestety nie mógł. Po przywitaniu zebranych, a w szczególności delegata naszego przez p. Dyrektora Synodu i po odczytaniu listu W-nego p. K. Tosio, i wysłuchaniu pozdrowienia naszego delegata, odczytano protokół poprzedniego Synodu i wysłuchano następnie sprawozdania z działalności Konsystorza w r. ubiegłym. Ze wszech miar ciekawe to sprawozdanie przyniosło wiele cyfrowych danych o stanie majątkowym Jednoty, który przedstawia się mniej więcej, jak następuje: poza majątkiem nieruchomym, a bardzo znacznym w domach przy ulicy Zawalnej i dobrach ziemskich (Izabelin, Niepokojczyce i inne), bibljoteki

i archiwum, srebrami kościelnemi, Jednota rozporządza zasobem pieniężnym w kwocie z górą miljon złotych, w złocie, dolarach i papierach wartościowych ulokowanych. Dochody bieżące w r. sprawozdawczym wyniosły zł 256.000, w tem czynsze z domów 95.000, dochody zaś kancelaryjne 38.000, kolegjalne 17.000, kościelne 7.000. Ogólna suma przewyżki dochodów nad wydatkami wyniosła 55.000, nie wliczając w to zaległego czynszu z domów, w kwocie 24 000. Jak więc widzimy stan materjalny Jednoty można nazwać b. dobrym. Jest to zasługą sprężystej i celowej gospodarki Kosystorza z Prezesem tegoż p. B. Iżyckim-Hermanem na czele. Dalej dowiadujemy się z tegoż sprawozdania, że w r. sprawozdawczym przyjęto do wyznania naszego w Wilnie 433 osób z innych wyznań chrześcijańskich i ochrzcono 1 osobę wyznania mojżeszowego. Sąd zaś Konsystorski orzekł w tym okresie z górą 250 rozwodów. Nie dało jednak sprawozdanie żadnych danych ze sfery właściwego życia kościelno-religijnego, zupełnie tą dziedzinę pomijając. Niestety przejście do dalszych punktów porządku dziennego bez najmniejszej dyskusji nad tym ze wszech miar ciekawem sprawozdaniem nie pozwoliło mi tego braku podkreślić, ani tembardziej uzupełnić. Natomiast ożywioną dyskusję wywołała sprawa uporządkowania prawa kanonicznego Jednoty Wileńskiej, przyczem na wniosek p. Dyrektora Falkowskiego uchwalono zaangażować fachową siłę do tej żmudnej a odpowiedzialnej pracy, a jeszcze bardziej sprawa uchwalenia przystąpienia Jednoty do tworzącej się Rady Ewangelickiej w Polsce. W wyniku bardzo rzeczowej i wyczerpującej dyskusji przyjęto tą ustawę w brzmieniu Zjazdu z wyjątkiem § 6 i 14, a więc tych, które mówią o składzie i kompetencji Rady.

W Niedzielę, jako drugi dzień synodu, nabożeństwo kumunijne odprawił ks. Generalny Superintendent, przyczem kazanie wygłosił ks. Felicjan Kurnatowski z Izabelina.

Po wspólnej Kumunji Świętej ks. Generalny Superintendent wygłosił piękną przemowę okolicznościową z powodu sprowadzenia do kraju prochów wielkiego poety, Króla Ducha Juljusza Słowackiego, poczem zebrani udali się gremialnie przed pomnik męczennika i patrjoty Szymona Konarskiego, gdzie został złożony wieniec, przyczem krótką przemowę wygłosił delegat nasz ks. L. Zaunar.

Dalszy ciąg obrad odłożony został na poniedziałek i dnie następne. Między innemi wysłuchano bardzo treściwego sprawozdania p. dyrektora Studnickiego o stanie bibljoteki i archiwum Jednoty, zawierających, jak wiadomo, wiele cennych, a nawet bezcennych pamiątek, następnie przyjęto sprawozdanie komisji rewizyjnej, rozpatrzono i zatwierdzono preliminarz budżetu na r. 1927, rozpatrzono podania do Synodu tak Zborów, jak i poszczególnych osób, poczem we czwartek nastąpiło uroczyste zamknięcie obrad synodalnych uroczystem nabożeństwem, w czasie którego został ordynowany na djakona kaznodzieja Jarosław Opoczeński, pierwszy stały pracownik — ewangelista w Zborach czeskich na Wołyniu.

Ks. L. Zaunar.

Zjazd Związku Polskiego Towarzystw i Zborów Ewangelickich.

W dniach 5 i 6 sierpnia r. b. odbędzie się czwarty Zjazd pomienionego Związku, tym razem w Cieszynie i Dzięgielowie. W piątek 5-go sierpnia po południu o godzinie 3-ej odprawione będzie nabożeństwo w kościele ewangelickim w Cieszynie. Po nabożeństwie nastąpi otwarcie Zjazdu w sali zborowej. Na tej pierwszej sesji delegaci poszczególnych dzielnic i Towarzystw złożą sprawozdanie o ich pracy i położeniu społecznem. Wspólna kolacja i wieczór towarzyski zakończą pierwszy dzień Zjazdu. W sobotę, dn. 6 sierpnia, główne rozprawy odbywać się będą w Dzięgielowie pod Cieszynem, w tamtejszych Zakładach misji wewnętrznej. Początek sesji o godzinie 10 rano. Tematem rozpraw będzie zagadnienie pracy społecznej ewangelików. Główne referaty wygłoszą: Ks. senjor K. Kulisz n. t. „Ewangelja społeczna", Ks. prof. J. Szeruda n. t. „Obowiązki ewangelików względem młodzieży" i Ks. Radca K. Kotula n. t. „Szkółka niedzielna". Szczegółowy program będzie podany na miejscu. Wieczorem nastąpi zakończenie Zjazdu nabożeństwem w Zakładach.

W niedzielę 7 sierpnia uczestnicy Zjazdu będą mieli sposobność urządzenia wspólnej wycieczki autobusami przez Ustroń i Wisłę do Istebnej, czarującej miejscowości wśród gór, gdzie o godzinie 1-ej po południu odbędzie się uroczystość położenia kamienia węgielnego pod budowę Kościoła ewangelickiego w Istebnej.

Ze względu na wielką wagę narad tegorocznego Zjazdu Zarząd Związku uprasza o jaknajliczniejsze uczestnictwo delegatów i gości. Uczestnicy Zjazdu korzystać będą w drodze powrotnej z ulgi kolejowej. Komitet Zjazdu poczyni też starania o zapewnienie uczestnikom Zjazdu noclegów. Noclegi te będą mogły być przygotowane w Cieszynie i Dzięgielowie, to jest albo w mieście, albo na wsi, płatne albo bezpłatne, według życzenia uczestników. Uprasza się o zgłaszanie się na Zjazd, z wyraźnem żądaniem noclegu w mieście lub na wsi, płatnego albo bezpłatnego, najpóźniej do 1 sierpnia r. b. Zgłoszenia te adresowane być powinny do kancelarji Zboru ewangelickiego w Cieszynie, Województwo Śląskie. Późniejsze zgłoszenia z trudnością będą mogły być uzwględniane.

* * *

Postępy prawosławia w Polsce. Warszawska „Epoka" doniosła swego czasu, że dnia 31.V. r. b. prawosławny biskup poleski Aleksander

dokonał w soborze prawosławnym św. Marji Magdaleny na Pradze obrządku przejścia na prawosławie b. księdza wyznania rzymsko-katolickiego, Leona Ostrowskiego, proboszcza rzymsko-katolickiej parafji we wsi Jęzor w powiecie Chrzanowskim. Ks. Ostrowski przeszedł na prawosławie według obrządku zachodniego wraz ze wszystkimi swoimi parafianami w liczbie 220 rodzin. Mieszkańcy wsi okolicznych, będący pod wpływem wymienionego Ks. Ostrowskiego, nadesłali również do metropolji prawosławnej w Warszawie prośby o przyjęcie ich na prawosławie obrządku zachodniego.

Rzym chciał skatoliczyć prawosławnych w Polsce i poza Polską, a tymczasem prawosławie czyni poważne i nieoczekiwane zdobycze!

* * *

Uroczystości Husa w Pradze Czeskiej. Przed dwoma laty w uroczystościach na cześć reformatora i bohatera narodowego czeskiego — Husa czynny udział brali Prezydent Republiki — Masaryk i wszyscy ministrowie. Wywołało to, jak wiadomo, konflikt z kurją papieską i odwołanie z Pragi nuncjusza papieskiego. Konflikt ten nie został jeszcze po dziś dzień załagodzony. Jednakże w tegorocznych uroczystościach na cześć Husa Prezydent i rząd udziału oficjalnego nie brali.

* * *

Dom Kalwina w Noyon, to jest dom, w którym się Kalwin w roku 1509 urodził, ma być z ofiar wszechświatowego protestantyzmu w najbliższym czasie odnowiony i do pierwotnego stanu doprowadzony.

* * *

W katedrze w Kolonji znajduje się grobowiec Królowej polskiej — Ryksy. Napis na grobowcu w języku polskim, wyryty na płycie metalowej, brzmi, jak następuje: „Tu spoczywają prochy Królowej polskiej Ryksy, synowej wielkiego Bolesława i małżonki króla Mieczysława II, matki jej syna Kazimierza, zwanego Odnowicielem". Królowa Ryksa była ciotką cesarza niemieckiego Ottona III.

* * *

Rada Kościołów Ewangelickich w Polsce pozyskała znowu jednego stałego członka. Mianowicie na krajowym Synodzie ewangelicko-unijnego Kościoła na Polskim Górnym Śląsku, który się odbył w Katowicach dnia 15.VI. r. b., zostałouc hwalone przystąpienie pomienionego Kościoła do zjednoczenia, uchwalonego na Zjeździe w Wilnie w r. 1926. Jako motywy, skłaniające Synod do przystąpienia do „Rady", odnośna rezolucja podaje — Słowo Boże (Ew. Jana 17 — Efez. 4), nakazujące jedność, dzisiejsze kierunki kościelno-ewangelickie, mające na celu jednoczenie się Kościołów ewangelickich, i wreszcie zadania Kościoła Ewangelickiego w Polsce, które tylko wspólnemi siłami spełnione być mogą. Synod w dalszym ciągu w rezolucji swojej wyraża nadzieję i oczekiwania, że na wszystkie dotychczasowe fakty wzajemnej nieprzyjaźni i niechęci, które się wydarzyć mogły, rzucona będzie zasłona zapomnienia, i że na przyszłość wszelkie nieporozumienia załatwiane będą w duchu równości i przyjaźni, że oddzielne Kościoły nie będą wkraczać na teren sąsiada, a wszelkie stawianie obrażających zarzutów bezwzględnie zaniechane zostanie.

Na członków „Rady", jako przedstawiciele Kościoła ewangelicko-unijnego na Polskim Górnym Śląsku, powołani zostali: Ks. Prezydent i Superintendent Voss i Hr. Henkel v. Donnersmark, na ich zastępców Ks. Radca Drabek z Pszczyny i fabrykant Fitzner z Huty-Laura.

— S. —

OD REDAKCJI.

Szanownych Czytelników naszych zawiadamiamy, że w sierpniu pismo nasze nie wyjdzie, a to z powodu wyjazdu redaktora na urlop. Następny numer „Jednoty" podwójny — 8 i 9 rozesłany będzie czytelnikom w drugiej połowie września r. b.

REDAKCJA.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł 150; II str. — 100; III str. — zł 75; ½ str. — zł 75, 50, 35; ¼ str. — zł 40. 30, 20, i ⅛ str. bez względu na stronę — zł 20.

STRONY ZWYKŁE: cała strona — zł 100; ½ str. — 50; ¼ str. — 30; ⅛ — zł 20. — Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Drukarnia M. S. Wojsk., Przejazd 10.

OFIARY NA WYDAWNICTWO

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

1. Pan August Deloff — Warszawa . . . . . zł 6,00
2. P-ni Józefa Daniszewska — Warszawa . . . „ 3.00
3. P-ni Emilja Dickman — Łódź . . . . . „ 3.00
4. P-ni Katarzyna Dickman — Łomża . . . . „ 3.00
5. Pan Dr Wład. Namysłowski — Hamburg . . „ 18·45
6. Pan Stefan Kłosiński — Hrubieszów . . . „ 4.00

Serdeczne dzięki!

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc sierpień 1927 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11·15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Niedziela, dnia 7.VIII (N. VIII po Trójcy Świętej) z Kom. Św. . . . . — Ks. L. Zaunar
2. Niedziela, dnia 14.VIII (N. IX po Trójcy Świętej) . . . . . — Ks. W. Semadeni
3. Niedziela, dnia 21.VIII (N. X po Trójcy Świętej). . . . . — Ks. W. Semadeni
4. Niedziela, dnia 28.VIII (N. XI po Trójcy Świętej) . . . . . — Ks. W. Semadeni

DRUKARNIA

MINISTERSTWA SPRAW WOJSKOWYCH

WARSZAWA, PRZEJAZD 10

TELEFONY: 51-25, 272-51, 282-66.

DZIAŁY:

DRUKARNIA bogato zaopatrzona w czcionki. Maszyny pośpieszne. — Maszyna rotacyjna. — Stereotypja. — Linotypy.

▽▽▽▽

LITOGRAFJA: Maszyny najnowszego systemu do formatu 90×125. — Materjał pomocniczy.

▽▽▽▽

INTROLIGATORNIA: Najnowsze maszyny do falcowania, szycia nićmi i drutem. Duży wybór materjałów i ozdób do najwykwintniejszych robót w zakres introligatorstwa wchodzących.

▽▽▽▽

WARSZTATY MECHANICZNE: Urządzenia pierwszorzędne. Maszyny precyzyjne. Specjalna maszyna do ostrzenia noży introligatorskich do długości 1.60 m.

WYKONANIE WSZELKICH ROBÓT Z WSZYSTKICH DZIAŁÓW PIERWSZORZĘDNE I SZYBKIE.